

Izabela Cywińska

— Bywa moda na fasony sukienek, czy myśli Pani, że i na teatry?

— I zmienia się prawie równie często jak paryskie wskazania, choć jak i tam są pewne stałe elementy.

— Czy Pani teatr — Teatr Nowy w Poznaniu — jest modny?

— Właściwie sama nie wiem. Chwilami.

— Od czego to zależy?

— Od budowniczych pomników. Rozmawialiśmy kiedyś o Konradzie Swinarskim, którego zresztą uważam za największego powojennego reżysera, że gdyby wiedział, jak będzie się jego nazwisko przeciągać przez wszystkie szpalty i używać jako argumentu ostatecznego w różnych sprawach, to albo by dostał ataku śmiechu, albo wybrał jakikolwiek inny zawód. Bo jemu właśnie wybudowano pomnik i przydzielono ściśle określoną rolę. Innym albo pozwala się postać obok cokołu, albo przylepia się etykiety.

— Do jakiej grupy Pani się zalicza?

— Tych z etykietami — bardzo dobry organizator, dyrektor sprawnego zespołu. A że jest to teatr „zespołowy”, więc nazwiska aktorów nieczęsto się wymienia — jesteśmy chyba siódmy raz w Warszawie i co bystrzejsi znają już pewnie ze dwa nazwiska. Mówię to bez żalu, bo największym dla nas komplementem jest, kiedy ludzie odchodzą od kasy, na której wisi kartka „wszystkie bilety wyprzedane”, a warszawscy aktorzy przychodzą za kulisy i z zazdrością mówią, że takiego spektaklu w Warszawie nie dałoby się zrobić, bo do tego trzeba mieć zespół Cywińskiej.

— Pracował w tym zespole kiedyś mało wówczas jeszcze znany reżyser Maciej Prus. Jeden ze spektakli przedstawionych warszawskiej publiczności reżyserował Janusz Nyczak, który debiutował w Pani teatrze jeszcze jako student reżyserii. Czy nie jest to pewna prawidłowość?

— Ba, marzę o tym, żeby zespół wychował sobie drugiego reżysera, który by myślał i czuł tak jak my. Ale reżysera całkowicie związanego z tym zespołem. Jestem zazdrosna i bardzo nie lubię, jak reżyser pracuje także w innych teatrach. Tym bardziej, jeżeli jest młody, a zatem w pełni jeszcze nie ukształtowany. Z Nyczakiem jesteśmy zgodni co do koncepcji pracy wewnątrz zespołu i pracy z aktorem. Mamy też podobne zainteresowania repertuarowe. Wydaje mi się, że tylko „właśni” reżyserzy mogą wraz ze stałym zespołem ukształtować jednolity, określony profil teatru. Gościnni reżyserzy zapraszani raz na jakiś czas są potrzebni chociażby dla higieny psychicznej aktorów, ale bazować należy na własnych siłach.

— Jak by Pani określiła profil swojego teatru?

— Może inaczej, bo to temat rzeka. Najważniejsze dla nas są sprawy, które dotyczą nas wszystkich, które dzieją się TU i TERAZ. Nawet jeśli jest to klasyka. Wtedy szczególnie. To banalne. Wiem. Chcielibyśmy, aby teatr mówił do ludzi absolutnie serio właśnie o tym, zmuszając ich do współudziału w spektaklu nie poprzez formę, ale przez to, że za żadną z racji nie opowiadamy się do końca



Fot. Jacek Kulm

stwarzając tym samym widzowi możliwość dokonania każdorazowego moralnego wyboru.

— Nie jest Pani zwolenniczką zabiegów formalnych?

— Forma służy do wyrażania treści.

— Przejdźmy do innej sprawy. Na ogół dyrektorami teatrów są mężczyźni...

— Pewnie dlatego na początku kobietom jest bardzo trudno, bo wszystkie potknięcia, które darowuje się mężczyznom, nie przebacza się tak łatwo kobietom i kwituje się to krótkim „O, baba z niej wylazła”. I nie wiadomo, dlaczego jest to określenie zawsze pejoratywne, w momencie, kiedy stwierdzenie „wylazł z niego mężczyzna” jest komplementem. Ale jeżeli człowiek — w tym wypadku kobieta — przebiję się już przez te początki, kiedy popełnia się masę błędów, a więc automatycznie co krok jest się nazywanym „babą”, to potem zostają już tylko same plusy. W zespole mam już takie zaufanie, jakbym była „normalnym” dojrzałym mężczyzną.

— Co należy rozumieć jako komplement?

— Oczywiście. A z drugiej strony czasem udaje nam się trochę inaczej odczytać tekst. Ale to też na początku było krytykowane. Szczególnie panie recenzentki zarzucały mi, że robię babskie przedstawienia. I niezależnie od tego, czy było to dobre czy złe, na tym kończyła się cała wnikliwość recenzentka. Natomiast teraz zdarza się (nie mówię o recenzentach), że koledzy reżyserzy — mężczyźni, przychodzą za kulisy i komplementują, że oni by tego tak nie odczytali. Co wcale nie wynika z moich szczególnych talentów, ale po prostu innej konstrukcji psychicznej. Oczywiście jesteśmy bardziej podatni na załamania, nie zawsze potrafimy trzymać wszystko silną ręką i te cechy typowo kobiece czasem przeszkadzają.

— A Pani ma silną rękę?

— Różnie to bywa, ale staram się być konsekwentna w swoim działaniu. I na pewno nigdy nie będę tolerowała niepoważnego traktowania zawodu, a tym samym lekceważenia widza. Pewnie dlatego bardzo trudno byłoby mi się znaleźć w warszawskim teatrze, gdzie z konieczności dyrektor na wiele rzeczy musi patrzeć przez palce. Często jest cena, którą się płaci, aby utrzymać „gwiazdorski” zespół. Jeżeli się już wybrało ten zawód, to trzeba mieć świadomość, że za każdym razem trzeba zaczynać od początku z taką samą siłą, z tym samym przekonaniem, wiarą — bo w teatrze jedna nieudana premiera może przekreślić wszystkie poprzednie sukcesy i osiągnięcia.

Rozmawiała ANNA BORKOWSKA